

WSPOMNIENIA SKOCZKA...

Władysław Andrzej Chudy

Tradycja wojskowa była zakorzeniona w mojej rodzinie. Ojciec oficer¹, przed wojną służył w Korpusie Ochrony Pogranicza. Walczył pod Monte Cassino i wojnę zakończył we Włoszech w stopniu majora z nadaniem orderu *Virtuti Militari*. Również jeden z moich wujków otrzymał order *Virtuti Militari* za męstwo we wrześniu 1939 roku.

Kiedy wybrałem się na studia w Londynie w 1958, dowiedziałem się od znajomych o organizacji „Pogoń”² i wykładach o tematyce wojskowej w Instytucie Marszałka Piłsudskiego na Putney. Uczęszczałem na nie sporadycznie. Prawdę mówiąc, były to raczej momenty towarzyskie niż praktyczne zaangażowanie się w sztukę wojenną. Zasady terenoznawstwa poznałem w harcerstwie, a jeśli chodzi o broń, to wiadomości przekazywane na tych zebraniach były raczej ogólnikowe, bez praktycznego zastosowania. Czasami były to spotkania reprezentacyjne. Na jednym z nich spotkałem panią Aleksandrę Piłsudską.

Format zajęć nie satysfakcjonował mnie i z tego powodu przestałem brać w nich udział.

Kilka lat potem, na przełomie lat 1961/1962, zaproponowano mi, abym wziął udział w kursach spadochronowych organizowanych przez „Pogoń”. Kiedy wyraziłem zgodę, podano mi numer telefonu osoby, która udzieliłaby mi dalszych informacji i podała schemat wymagań pozwalający na udział w kursach.

Zadzwoniłem i spotkałem się z p. Wachnickim, który będąc uczestnikiem kursów spadochronowych, przedstawił założenia tychże oraz podał mi warunki uczestnictwa. Proszę pamiętać, że lata 60. to okres „zimnej wojny” i sensowność tych kursów trzeba teraz ocenić w odniesieniu do tamtych lat.

¹ Ppłk Władysław Chudy (1906-1995), oficer WP (72 pp, Batalion KOP „Sejny”), uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r., łagiernik, żołnierz armii gen. W. Andersa, oficer II Korpusu Polskiego, uczestnik bitwy pod Monte Cassino w szeregach 16 Lwowskiego Batalionu Strzelców, po wojnie aktywny działacz niepodległościowy (szerzej zob.: W. Zawadzki, *Chudy Władysław s. Andrzeja*, [on-line] <http://psbprzedborz.pl/wordpress3/2010/01/chudy-wadysaw-2/> - 15 V 2014).

² Brygadowe Koło Młodych „Pogoń” – emigracyjna organizacja utworzona w 1949 r. w Londynie przez oficerów 1 Dywizji Piechoty Legionów w celu szkolenia wojskowego młodzieży do walki o niepodległość Polski w nawiązaniu do tradycji legionowych. Założycielem i komendantem organizacji był ppłk dypl. Zygmunt Czarnecki.

Od potencjalnych uczestników wymagano:

- nieposiadania obywatelstwa brytyjskiego,
- wieku do średnio trzydziestu lat,
- dobrego stanu zdrowia i sprawności fizycznej,
- podpisania zobowiązania, że uczestnik kursów w razie konfliktu wojennego będzie przygotowany na wzięcie udziału w działaniach militarnych,
- utrzymania informacji o udziale w kursach w możliwej tajemnicy.

Kursy miały odbywać się w jednostkach wojskowych we Francji. Znałem język francuski ze szkoły, więc mogłem nawet tłumaczyć w razie potrzeby. Z wielką chęcią przystałem na podane warunki, mając wizję wielkiej przygody. Wstawka o udziale w ewentualnym konflikcie wojennym zbytnio mnie nie przerażała...

W międzyczasie dołączyło kilku kolegów, wśród nich Jurek Narzyski i Tadek Opaliński. Latem 1962 roku mieliśmy kilka spotkań, w czasie których uczono nas niezbędnej techniki lądowania ze spadochronem. P. Wachnicki przynosił koc, po czym w Hyde Parku na trawie ćwiczyliśmy przewrotki, to znaczy przewracanie się na pośladku przy lądowaniu. Jesienią tego roku poinformowano nas, że w lutym 1963 roku wyjedziemy na kurs skoczków.

Mieliśmy jechać na szkolenie do bazy wojskowej w Cercottes (por. fotografie), leżącej blisko dużych lasów w dolinie rzeki Loary na północ od miasta Orlean.



Dowódca grupy kpt. „Gryf” na poligonie w Cercottes we Francji



Odprawa przed ćwiczeniami. Trzeci od lewej kpt. „Gryf” – poligon w Cercottes

W połowie stycznia zostałem powiadomiony, że naszą grupę przydzielono do kursu odbywającego się między 4 a 16 lutego. Mieliśmy wyjechać w niedzielę 3 lutego pociągiem ze stacji Victoria do Dover, następnie przez kanał promem, a potem z Calais do stacji Gare du Nord w Paryżu. Stamtąd należało dotrzeć do stacji Gare d’Austerlitz i tam załadować się na pociąg do Orleanu, gdzie na stacji miał czekać na nas transport wojskowy. Z Anglii w końcu pojechało nas czterech, oprócz Narzymskiego i Opalińskiego dołączył jeszcze Jacek Brzeski. Przejazd odbył się bez większych przygód. Dotarliśmy do bazy. Rozlokowano nas w sypialniach po dwóch.

Wczesnym rankiem, po pobudce o godz. 6-tej i śniadaniu zabrano nas na załatwienie spraw administracyjnych, poboru umundurowania, butów oraz zapoznania się z komendą. Każdy z nas otrzymał pseudonim, którym miał się posługiwać w czasie kursu – moim był „Maigre”.

Jak się okazało, uczestnicy kursu występowali w stopniu szeregowca. Odpowiadało za nich „Deuxième Bureau” – francuska tajna służba. Tak oficjalnie mówiono o nas...

Niespodzianką było spotkanie reszty uczestników szkolenia, Polaków pochodzących z oddziałów wartowniczych z Francji. Było nas razem 12 kursantów, starszy grupy kapitan „Gryf” i zastępca porucznik, którego nazwiska nie pamiętam. Obydwaj pochodzili z oddziałów wartowniczych i w czasie kursu, jak się okazało, byli bardzo czynni i pomocni.

Ogólnie pierwszy tydzień kursu miał być szkoleniem i przygotowaniem do akcji w terenie, która miała nastąpić w drugim tygodniu i miała być odzwierciedleniem warunków, które moglibyśmy spotkać w przyszłości, gdyby zaistniała potrzeba użycia nas w działaniach wojskowych...



Nauka z strzelania z granatnika ppanc. – poligon w Cercottes

Zajęcia składające się z części praktycznej i wykładów, były bardzo intensywne, zaczynając od pobudki o 6-tej rano, a często kończąc się o 10-tej wieczorem. Po pobudce szybkie przygotowanie się do zbiórki na podniesienie flagi. Stajemy w szeregu i czekamy na nadejście oddziału francuskiego. Następują komendy „baczność, sztandarowi cześć” i *attention a couleur*, flaga wędruje na maszt, a żołnierz francuski oddaje jeden strzał z karabinu. Po śniadaniu udajemy się na ćwiczenia.

Zaczęliśmy od nauki techniki skoku, stosując przewrotki, potem to samo, ale łądując po zjeździe z krótkiej pochyłej napiętej metalowej liny, potem powtarzając to na długiej linie. Ostatnia próba to był skok z 20-metrowej wieży – na uprząży, ale bez przewrotki. Uprząż zatrzymywała nas kilka metrów nad ziemią.

Była to chyba próba naszej odwagi i odporności psychicznej. Cały czas podczas ćwiczeń instruktor sprawdzał, czy stosowaliśmy wszystkie zalecane metody lądowania. Zapewniano nas, że jest bardzo mała szansa kontuzji po skoku, jeśli przestrzega się zasad lądowania. Ta reguła potwierdziła się w późniejszych latach, bo w tych grupach gdzie byłem, nie mieliśmy poważnych wypadków przy lądowaniu.

Podczas dnia mieliśmy zaprawę fizyczną. Uczono nas przechodzenia przez różne przeszkody, wdrapywania się na mury, pokonywania różnych zasieków. Mieliśmy zaprawę strzelecką w kilku rodzajach broni, strzelaliśmy z karabinów oraz pistoletów, oddając strzały do papierowych makiet z różnych pozycji ciała.

Na poligonie uczono nas zakładania materiałów wybuchowych przy użyciu różnych zapalników. Wysadzanie ćwiczyliśmy na starych czołgach.

Podstawowym materiałem wybuchowym był plastik (podobny do semtexu). Po założeniu ładunku i zapalnika na czas, uciekaliśmy do schronu, czekając na wybuch. Było to konieczne, bo czasami płyty metalu lub odłamki lądowały opodal. Kilka razy odpaliliśmy granaty przeciwczołgowe tzw. „bazooki”.



...i oglądanie rezultatów strzelania

Poza poligonem uczono nas składania spadochronu po skoku, kierowania czasem podczas spadania (w razie wiatru), operowania uprząż podczas skoku, ułożenia nóg i ciała przy lądowaniu. Inne tematy obejmowały terenoznawstwo, metody zakładania ładunków wybuchowych, ich umiejscawianie, żeby osiągnąć jak największą skuteczność przy wybuchu, posługiwanie się różnymi zapalnikami i lontami. Na przykład pokazano nam, jak używając lontu wybuchowego, można było powalać słupy linii telefonicznej. Siła wybuchu ciasno owiniętej pętli wokół słupa po prostu przecinała go przy wybuchu. Poruszano również kwestię metod krycia się w terenie samemu lub w grupie przy zastosowaniu wszelkich środków ostrożności.

Pogoda w tym czasie przeszkadzała w odbyciu skoku, bo panował niski pułap chmur. Wreszcie 7 lutego pogoda chwilowo poprawiła się i zabrano nas na lotnisko. Podniecenie i świadomość, że nie można się „zblaźnić” – górowały... Kiedy zbliżaliśmy się do rejonu skoku, nawigator przesłał sygnał gotowości instruktorowi stojącemu przy drzwiach, ten otworzył drzwi. Nasz szereg wstał i zaczepiliśmy klamerkę linki spadochronu do wewnętrznej, metalowej taśmy samolotu. Po wyskoku z samolotu wyciągało to spadochron, który otwierał się po kilkunastu metrach opadania. Na komendę instruktora posuwaliśmy się do otwartych drzwi i czekaliśmy na komendę *en position*, po której tuż przed wyskokiem po kolei ustawialiśmy się w otworze drzwi i na rozkaz *go*, skakaliśmy. Wszyscy odbyli ten pierwszy skok bez większych problemów. Mieliśmy odbyć 3 skoki, w tym jeden nocny, który miał zapoczątkować 3-dniowe ćwiczenia o kryptonimie „Agathe”. Pogoda jednak nadal uniemożliwiała dalsze skoki. Kontynuowano zajęcia dzienne.

Rankiem przed rozpoczęciem „Agathe” zwołano nas na odprawę, gdzie przedstawiono założenia ćwiczeń. Zawierały one elementy walki partyzanckiej: zrzut agentów na przygotowany teren, kontakt z partyzantami i pobranie rozkazów, korzystanie po drodze w kilku miejscach z zaopatrzenia w żywność i dalszych instrukcji, unikanie patroli „wroga”, no i wreszcie dotarcie do celu. Nie podano nam położenia miejsca, gdzie miała się zakończyć „Agathe”. Mieliśmy tam dojść, kierując się instrukcjami, jakie mieliśmy otrzymywać w różnych skrytkach podczas marszu.

Z powodu złej pogody odwołano nocny skok. Zamiast tego wywieziono nas do miejsca, gdzie mieliśmy poprzednio lądować i tam zacząć „Agathe”.

Byliśmy zaopatrzeni w ciepłe śpiwory, w jeden mały kompas i latarkę dla całej grupy, pelerynę, trochę bielizny, przybory do jedzenia, kubek i „żelazne” racje żywnościowe. Byliśmy ubrani w centkowane bluzy i spodnie, dające ochronne tło w lesie. Przypuszczam, że istniała możliwość pogubienia się i nie dotarcia do zaopatrzenia w żywność, dlatego „żelazne racje” miały być rezerwą „na przetrwanie”. Składały się one z małego pudełka, w którym była tabliczka wysoko kalorycznej czekolady, mała butelka z płynem do dezynfekcji, który pozwalał pić wodę nawet z kałuży, „miniaturka” koniaku, i jeśli mnie pamięć nie zawodzi, trochę sera. Była również mała apteczka z bandażem i kilkoma plastrami. Byliśmy podzieleni na dwie grupy z podobnymi zadaniami, ale z innymi marszrutami. Teren leśny był olbrzymi i łatwo służył kilku grupom. Moja grupa nie spotkała innej w czasie ćwiczeń „Agathe”.

Przed wymarszem była narada. Jurek Narzyski przygotował wstępny szkic marszruty. Były tam wyszczególnione miejsca kilku skrytek z instrukcjami zadań do wykonania. Resztę rozkazów mieliśmy otrzymać z kolejnych skrytek na trasie. Nasza trasa była łańcuchem do celu, a my musieliśmy łączyć poszczególne ogniwa wiadomości, żeby dotrzeć do końca.



Powrót z ćwiczeń – poligon w Cercottes

Nie wchodząc w szczegóły, udało się nam przedrzeć do celu. Znajdowanie skrytek polegało na łączeniu danych zawartych w instrukcjach z położeniem pewnych przedmiotów w terenie. Mogło być to drzewo albo duży kamień, blisko których był ukryty rozkaz. Nie odbyło się to bez przygód. Przy kolejnym odbiorze zaopatrzenia, kiedy otwierałem pojemnik, wybuchła pułapka z plastikowego granatu z gipsem, obsypując mnie białym puchem. Był to żart zafundowany nam przez ekipę przygotowującą ćwiczenia. Byłem zły, bo wybuch pułapki pokrył mnie białym puchem.

W kilku miejscach słyszeliśmy trzaski w krzakach, ale były to tylko spłoszone dziki, a nie obecność patrolu „wroga”.

Maszerowaliśmy marszem ubezpieczonym. Raz nasza czujka dała sygnał o zbliżaniu się „wroga”. Mieliśmy czas skryć się, leżąc płazem w liściach podszycia lasu, a patrol przeszedł kilkanaście metrów od nas. W nocy były potężne mrozy. Spaliśmy pod gołym niebem. Marszowe buty pozostawione poza śpiworem zamarły na kamień i trzeba było na nich długo siedzieć, żeby zmiękły. W dodatku wadliwy szew w jednym bucie spowodował dotkliwą ranę na mojej stopie w czasie marszu. Po pierwszej nocy spałem już w butach. Śpiwory były wspaniałe i mimo kilkunastu stopni mrozu, w nocy nikt nie zmarł.

Nie zapomniałem mącznego „chrztu” i czekałem na rewanż. Okazja nadarzyła się w ostatnim dniu akcji „Agathe”. Czujka podała, że nadchodzi patrol „wroga”, ale złożony tylko z dwóch żołnierzy. Wskoczyłem, kierując broń na nich i krzycząc żeby się poddali. Odebrałem im broń i ładunki, i prawdę mówiąc „dla fasonu” powinniśmy ich puścić bez ubrań, ale zdobyta broń była wystarczającym trofeum. Pomaszerowaliśmy do miejsca zbiórki, gdzie czekał na nas transport do obozu.

Byliśmy pełni wrażeń. Wieczorem odbyła się odprawa, na której oceniano zachowanie poszczególnych grup i wywiązanie się z powierzonych zadań. Nasza grupa wykonała zadanie bez większych wpadek i odebrała broń patrolowi „wroga”. Wieczorem w kasynie, kpt. „Gryf” postawił nam koniak za ten wyczyn z rozbrojeniem patrolu.

Rankiem 16 lutego ostatnie czynności przed wyjazdem, zdanie ekwipunku, pobranie świadectwa skoku, pożegnania. Jedziemy pociągiem do Gare d’Austerlitz, po czym do Gare du Nord, gdzie czekamy na pociąg do Calais.



Francuskie odznaki wojskowe. Od lewej: odznaka otrzymywana przez skoczka po 6 skokach oraz odznaka ośrodka szkoleniowego (*École des troupes aéroportées - ETAP*)



Oczekiwanie na załadunek – lotnisko w Pau

Dużo czasu poświęciłem opisowi tego pierwszego wyjazdu, bo format kursu w Cercottes bardzo się różnił od późniejszych w bazie wojskowej w Pau, u podnóża Pirenejów.

Latem zgłosiłem chęć wyjazdu na letni turnus skoków, który miał się odbyć w Pau.

Przed wyjazdem mieliśmy spotkanie z majorem Żarnowieckim, który był koordynatorem organizacji wyjazdu z Anglii. Na tym zebraniu dowiedzieliśmy się trochę o obozie szkoleniowym w Pau.

Pierwszy turnus odbył się sierpniu 1963 roku. W Paryżu spotkał nas podpułkownik L'Hopitalier, który był oficerem łącznikowym dla naszych grup we Francji.

Pojechaliśmy do Ecole Militaire (odpowiednik Sandhurst). Tu pobraliśmy gażę, która miała pokryć opłatę za pobyt oraz wydatki w kasynie, dano nam również przepustki na podróż do Pau.

Podróż trwała prawie całą noc. W Pau czekał na nas pojazd wojskowy. Na miejscu zostaliśmy powitani przez kierownika szkolenia. Wydano nam druki informacyjne i skierowanie do magazynu, aby pobrać mundury, pantofle i odznaki bazy oraz paski metalowe na naramienniki stopnia podporucznik.

Mieliśmy ten tymczasowy stopień przez cały czas pobytu. Szkolenie składało się z przejścia przez wszystkie ćwiczenia potrzebne do prawidłowego skoku. W dodatku mieliśmy dużo ćwiczeń w pokonywaniu różnych przeszkód terenowych i strzelania z broni małokalibrowej. Wszystkie skoki odbywały się z dwoma spadochronami. Ten na piersiach miał być użyty w razie nie otwarcia się spadochronu na plecach. Przed skokiem ze świadomym użyciem spadochronu piersiowego, mieliśmy dosłownie "wbijane do głowy" potrzeby skrzyżowania nóg, żeby zapobiec przejściu linek czaszy między nogami i spowodowania lądowania poziomego dosłownie na twarz, co groziło poważną kontuzją kręgosłupa lub połamaniem kości.

Ćwiczyliśmy skoki również z tyłu samolotów transportowych. Jako dodatkową zaprawę odbyliśmy skok dzienny i raz nocny z użyciem spadochronu piersiowego po wyskoku z samolotu. W czasie jednego turnusu wzięliśmy udział w manewrach. Nasza grupa była częścią większego oddziału. Skakaliśmy na poligonie wojskowym u pod-

nóza Pirenejów o nazwie *zone de saut Herrere*, po czym pod komendą francuską wykonaliśmy ćwiczenia terenowe polegające na dojściu do wyznaczonych celów.

Trzy pobyty w Pau miały podobny przebieg. Odwiedzał nas podpułkownik L'Hopitalier. W czasie jednego pobytu zawiózł nas i pokazał przydrożny „polonik”. Była to kapliczka Matki Boskiej, wykonana przez Polaków, więźniów wojskowych w czasie drugiej wojny światowej. W porównaniu z Cercottes mieliśmy w Pau lepsze warunki pobytu. Podoficerowie instruktorzy odnosili się bardziej spokojnie do nas, niż do szeregowych francuskich. Ciągłe jednak byliśmy z *Deuxieme Bureau*,

którym nie wolno było zadawać dociekliwych pytań. Staraliśmy się zachowaniem i wyglądem utrzymać postawę oficerów. Wchodząc do kasyna, przy drzwiach stawało się na baczność i wypowiadało *mes respects*. Jedzenie w kasynie było wspaniałe. Pogoda dopisywała. Utrwaliło mi się kilka wspomnień.

W 1963 roku, po ukończeniu letniego kursu skoków w Pau, wracaliśmy do Paryża, gdzie się rozstaliśmy, bo każdy miał inne plany powrotu. W Paryżu panował stan podniecenia. Patrole zbrojne wojska i policji były na wszystkich głównych skrzyżowaniach dróg, także pojazdy z karabinami maszynowymi. Odkryto kolejny spisek na życie gen. de Gaulle'a. W tym czasie spierały się trzy siły polityczne: prawowite władze Francji, tajne zbuntowane bojówki wojskowe OAS walczące o utrzymanie Algierii przy Francji oraz FLN powstańcy, którzy walczyli o niepodległość Algierii. Między nimi toczyła się wzajemna walka, trwająca już kilka lat.

Odkryty spisek był już chyba ostatnią fazą zamieszek, bo w tym czasie doszło do porozumień politycznych między Francją i przedstawicielami FLN.

Mój odjazd z Gare du Nord odbył się późnym popołudniem, pogoda była słoneczna i nie chcąc być przypadkową ofiarą zamieszek, poszedłem nad Sekwanę. Usiadłem na ławce i przegryzałem trochę ciasta. Przysiadł się do mnie Arab. Po krótkiej wymianie zdań przekonał się, że nie jestem Francuzem i nawiązaliśmy rozmowę, w której wyjaśniłem, że jestem na urlopie z Anglii. Na moje pytanie, co robi, odpowiedział, że pochodzi z Algierii i popiera działania FLN, zbierając fundusze od Algierczyków mieszkających w Paryżu. Na moje pytanie, co robi, jeśli nie dają, z uśmiechem przesunął palcem po gardle. W tej sytuacji więcej nie pytałem i szybko się pożegnałem, tłumacząc się potrzebą pójścia na stację.

Na jednym z kursów, podczas skoku nocnego dołączyło do nas dwóch podchorążych z elitarniej brytyjskiej podchorążówki w Sandhurst. Mieli tylko oglądać przebieg skoków nocnych ekipy, do której byliśmy włączeni. Siedzieli naprzeciw. Podniecenie udzielało się nam, ale oni, nie skacząc, również byli bardzo przejęci... Wynikało to z ich rozmowy.



Przed skokiem z samolotu transportowego



Sprawdzanie spadochronów przed skokiem
– lotnisko w Pau.

Innym razem skakało z nami dwóch oficerów Niemców w średnim wieku. Mimo woli mnie, Polaka, nachodziła myśl, czy ci panowie byli w Polsce w czasie wojny... I co tam robili...

Raz skakał z nami oficer już w podeszłym wieku. W podejściu do wyskoku stał dwa miejsca przede mną. Na kombinezonie miał trzy kółka. Po skoku podczas oddawania spadochronu, zapytałem podoficera dyżurnego, co oznaczała jego oznaka. Dowiedziałem się, że był to generał, wykonał już kilkaset skoków i w czasie wojny wietnamskiej w 1954 roku walczył w Dien Bien Phu. Francuzi powiedzieliby *formidable!*...

Soboty po południu i niedziele były wolne od zajęć. Wykorzystałem to i wybrałem się autobusem do Lourdes, gdzie było mnóstwo pielgrzymów oraz masa przeróżnych kramów z pamiątkami sakralnymi. Raz wybraliśmy się do Biarritz, wtedy słynnego kurortu nadmorskiego. Robiliśmy również okazyjne wypadki do miasta Pau. Widok tubylców grających w boules, lub popijających w kawiarenkach, otoczenie obozu, słoneczna pogoda, dawały nam posmak życia w innym świecie, tak różnym od angielskiego...



W oczekiwaniu na lot...

W 1965 roku, w sierpniu, opuściłem Pau. Nie przypuszczałem wtedy, że po raz ostatni. W sumie podczas czterech turnusów we Francji, oddałem 22 skoki.

Minęło już 50 lat od pierwszych skoków we Francji... Polska już dawno zrzuciła jarzmo komunizmu. Jestem na Błoniach Krakowskich. Oglądam pokazy skoków wykonywanych przez żołnierzy z 6 Dywizji Powietrzno-Desantowej. Nowoczesne spadochrony umożliwiające lądowanie docelowe z dokładnością kilku metrów... Mimo woli nasuwają się wspomnienia i myśli, że jak to dobrze, iż tylko przeszliśmy ćwiczenia, a nie musieliśmy wdrażać zdobytych umiejętności w konflikcie zbrojnym.

Skakaliśmy, bo skoki były przygodą, pewną próbą nas samych, może egzaminem z odwagi. W myślach wtedy rzadko rozważaliśmy możliwości udziału w wojnie. Nie wzięliśmy udziału w walce zbrojnej, ale wielu z nas na różnych szczeblach czynnie pracowało dla sprawy polskiej.

Organizacja tych wyjazdów była dziełem współpracy wojskowej między sztabem francuskim a oficerami polskimi w Wielkiej Brytanii. Jak dobrze wszystko działało, potwierdzają programy wyjazdów, organizacja kursów, zajęcie się nami na terenie Francji, wszystko było dopracowane w szczegółach.

Tym wszystkim oficerom z obydwu stron, francuskiej jak i polskiej, należy się jak największe uznanie za sprawną organizację tych kursów.

Poniżej podaję odtworzony (z pamięci) po latach wykaz uczestników kursów spadochronowych we Francji:

Nazwisko	Gdzie
1. Adamczyk Ryszard	Pau
2. Brzeski Jacek	Cercottes
3. Chudy Władysław	Cercottes, Pau
4. Czerwinke Tadeusz	Pau
5. Kowalski Jerzy	Pau
6. Krasnodębski Jan	Pau
7. Kubisz Krzysztof	Pau
8. Mackow R.	Pau
9. Michalski	Pau
10. Miluski	Pau
11. Miłoszewski Ryszard	Pau
12. Morgilewski Zbigniew	Pau
13. Narzyski Jerzy	Cercottes
14. Opaliński Tadeusz	Cercottes, Pau
15. Pawlus J.	Pau
16. Polak	Pau
17. Radałowicz Andrzej	Pau
18. Szadkowski Andrzej	Pau
19. Szwedko J.	Pau
20. Tarkowski Jan	Pau
21. Wachnicki Jerzy	Pau
22. Wawrzynowicz T.	Pau
23. Wiczowski Tadeusz	Pau
24. Zagórski Brunon	Pau